

Jak zostałem partyjnym.

O mojej decyzji zapisania się do PZPR i do marksizmu, przesądziła w roku 1959 pewna świeżo wtedy upieczona studentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i to wydziału teologii. Czegóż to diabeł nie potrafi obrócić na swój pożytek. Wyjaśni się to niżej.

Pamiętam doskonale, jak w roku 1966 mnie z partii wyrzucali (będzie i o tym, za jakiś czas), za to zupełnie zapomniałem, jak mnie do niej przyjmowali w roku 1959, widać moja późniejsza dysydencka strona zdecydowała wymazać postępki, który się z nią kłócił, choć dalibóg bez tej partyjności może i nie byłbym dysydem. Partyjnie niczym się w Kaliszu nie wyróżniłem, byłem "towarzyszem kandydatem", którego raz jeden, dość paskudnie, całkiem instrumentalnie wykorzystano, grupowo, jeśli tak można powiedzieć. Chwały mi to nie przynosi, ale wydarzenie, które opowiem było pierwszą rysą na mej neofickiej partyjności. Miały być wybory, jeśli dobrze pamiętam, w kaliskiej Spółdzielni Społem i towarzysze z Komitetu Miejskiego chcieli, żeby przebiegły one po partyjnej myśli, bo jak nam mówiono zarząd składał się z malwersantów. Później już doszedłem do wniosku, że pewnie było tak, iż zarząd pochodził z wyborów, które odbywały się w klimacie polskiego Października 1956 roku i mógł być zbyt niezależny w stosunku do Komitetu. Malwersantów, by po prostu zamknęli. Chodziło więc przypuszczalnie o "znormalizowanie" Społem, ale towarzysze nie mieli większości na sali pośród prawdziwych spółdzielców. Postanowili więc wprowadzić na zebranie silną grupę młodzieżowych janczarów, z fałszywymi mandatami, by z pomocą ich głosów wybrać wygodny dla siebie zarząd. I tak się niestety stało, a

Waldemar Kuczyński, jak bezwolny osioł wziął w tej manipulacji udział. Siedzieliśmy skupieni w jednym miejscu i jak manekiny podnosiliśmy ręce pod dyktando "starszego towarzysza" z Komitetu. Został mi po tym do dziś niesmak, ale to był pierwszy etap trzeźwienia z "czerwonki".

W odróżnieniu od partyjnej, moja kaliska karta ZMS-owska jest dość bogata, choć też nie pamiętam kiedy do owego "przedszkola partii" wstąpiłem, w jakich okolicznościach i z jakim stanem ducha. Na pewno nie stało się to na Politechnice jesienią 1958 roku mimo, że zetemesowcy prowadzili wśród pierwszoroczników rekrutację. Pamiętam zebranie na samym początku roku akademickiego, na którym aktywiści ZMS i ZSP zachęcali by wstępować do ich organizacji. Do ZSP zapisali się prawie wszyscy obecni, a do ZMS kilku. Organizacja ta utworzona w ramach odgórnej normalizacji ruchu młodzieżowego, który w październiku 1956 roku wymknął się partii z pod kontroli, była wtedy jeszcze bojkotowana. Od likwidacji "Po prostu" i spalowania przez ZOMO protestujących studentów minął dopiero rok. Kiedy dwa lata później zaczynałem studia na Uniwersytecie Warszawskim po bojkocie nie było już śladu. Życie wyegzekwowało swoje prawa.

Oprócz wspomnianej już studentki KUL na moje zbliżenie z awangardą klasy robotniczej, a szczególnie z jej młodzieżową przybudówką, wpływ mieli dwaj moi przyjaciele. Jeden przetrwał do dziś, a drugi znikł gdzieś w nurcie lat. O nim teraz trochę opowiem. Na imię miał Henryk, Heniek, trochę ode mnie starszy, szczupły, wzrostu średniego, czupryny bujnej, kędzierzawej. Dusza to była dobra, ale i stanowcza, z charyzmą. Dusza może nie bardzo tu pasuje, bo Heniek w Boga nie wierzył, wierzył w komunizm. Miał w sobie coś z ideowego aktywisty ZMP z

początku lat 50-tych, ale ciągnąć siłą chłopów do kołchozów, czy robić im przymusowe omloty i zabierać zboże pewno by się nie zgodził i skończyłby, jako oportunistą uginający się przed wrogiem klasowym. Wychował go dom dziecka, znał świetnie literaturę polską, dawał nawet korepetycje, choć skończył tylko szkołę podstawową i właśnie zaczynał zaoczne liceum. Kiedy go poznałem był jednym z sekretarzy Komitetu Miejskiego ZMS w Kaliszu, odpowiedzialnym za organizację w szkołach średnich. Polubiliśmy się i zaprzyjaźniliśmy.

Zetemesowskiego aktywistę zrobiła ze mnie także obawa przed samotnością. Kończyło się lato 1959 roku. Wszyscy z licealnej "paczki" rozjeżdżali się do swoich uczelni, ja zostawałem sam z ciężko ugodzoną miłością, do owej studentki z KUL, która siedziała mi w piersi od rana do rana. Bałem się zimy dzielonej między tytuły egzekucyjne (po wyrzuceniu z politechniki mama powiedziała idziesz do roboty i zacząłem pracę, jako referent w Skarbowym Urzędzie Komorniczym Powiatowej Rady Narodowej w Kaliszu, a tytuł egzekucyjny to podstawowy dokument egzekucji podatkowej do dziś), siedzenie w domu - nawet nie przed telewizorem, bo ich nie było - i dręczące myślenie o dziewczynie, którego nijak nie było sposobu się pozbyć, a zresztą wcale tego nie chciałem. ZMS wypełnił mi czas nowymi sprawami, poczułem, że należę do wspólnoty związanej ideą, którą właśnie odkrywałem, trochę ku własnemu zaskoczeniu, bo przecież była tu od dawna, a która teraz dopiero mnie oświeciła i uwiodła. Dlaczego dopiero teraz? No, bo skoro ja nie uwiodłem studentki z KUL-u to niech chociaż, i trochę jej na złość, sam dam się uwieść czemuś bardzo od katolickiego uniwersytetu odległego. Pamiętam dobrze ten mechanizm podszyty odwetem, zupełnie idiotyczny z punktu widzenia

celu, któremu miałyby służyć, ale tak było. Ten idiotyzm w ogromnej mierze przesądził o moim dalszym życiu, w końcu jednak wcale nie idiotycznym.

W Komitecie Miejskim ZMS poznałem też nowych ludzi, moich rówieśników i to nie tylko od zebrań i porad, lecz także od wspólnego spędzania wieczorów. Najczęściej przesiadywaliśmy w kawiarni "Dorotka", o wystroju bardziej tradycyjnym, powiedziałoby się wówczas, przedwojennym, niż znajdująca się po sąsiedztwie "Ratuszowa", otwarta już po październiku 1957 roku i urządzona bardziej nowocześnie, co oznaczało mniej przytulnie, raczej "barowo" niż "kawowo". "Ratuszowa", bo była przy ratuszu, a "Dorotka", od średniowiecznej baszty, przy kościele św. Józefa, resztkę murów obronnych miasta. W tej baszcie miano przed wiekami więzić dziewczynę imieniem Dorotka i tak nazwano najpierw samą basztę a potem kawiarnię. Miasta miewają swoje legendy. Kalisz też, jest wszak najstarszy w Polsce.

Dwie kawiarnie na 50 - tysięczne już wtedy miasto, to brzmi niewiarygodnie, ale wtedy nikogo nie dziwiło. Parę lat wcześniej była tylko jedna. Rzecz w tym, że w okresie Planu Sześcioletniego prawdziwa kawa, choć nie wyklinana jak coca - cola, była prawie jak ona niedostępna. Na pewno nie było jej w sprzedaży detalicznej. Pamiętam pomarańczę zdobytą przez mamę dla mnie w czasie wojny, nie pamiętam pomarańczy za Stalina i Bieruta. Niewielkie przydziały prawdziwej kawy miała może "gastronomia", oczywiście upaństwowiona i zapewne sklepy za "żółtymi firankami" obsługujące elity rządzące; krajem i terenem. Naród pił wyłącznie kawę zbożową, zwykle marki "Turek". Takie coś, jak prawdziwa kawa to byłby dla ludu pracy budującego socjalizm zbytek i trwanie cennych, bo skąpych

dewiz, potrzebnych do kupowania na Zachodzie maszyn.

Wkrótce po powrocie Władysława Gomułki do gmachu KC (później, gdy przyrównywania do Zachodu przestały brzmieć nieprawomyślnie, nazywanego "Białym Domem") wróciła prawdziwa kawa do kawiarni. Raczej dzięki ogólnej zmianie, niż decyzji nowego "genseka", bo on też ludu nie lubił rozpuszczać konsumpcyjnie. Pojawiły się wtedy w języku potocznym zapomniane określenia kawiarnianej codzienności, takie, jak mała czarna i duża czarna, a nawet dowcipy; życzy Pan sobie małą czarną? Nie, wolę dużą blond. Kawę pijało się w tamtych czasach parzoną "po turecku", przynajmniej na szczeblu konsumpcji ludowej i prowincjonalnej, a nie stołecznej i dygnitarskiej. Była to "zalewajka" nie mająca nic wspólnego z parzeniem tureckim. Łyżeczkę lub dwie ziarna dość grubo zmielonego w kawiarnianym ręcznym młynku wrzucano do szklanki, zalewano wrzątkiem i podawano przykrytą spodkiem. Kawę się wypijało, a fusy wyjadało, jak komuś smakowały. Mnie smakowały. Mała czarna to była łyżeczka mielonki i pół szklanki wrzątku, a duża to dwie łyżeczki mielonki i cała szklanka wrzątku. Popularności określeniom nadawało i to, że wyczerpywały kawową ofertę wczesnych czasów postalinowskich. Można było co najwyżej zamówić jeszcze małą lub dużą, ze śmietanką. O jakimś cappuccino, czy kawie parzonej w expresie i pitej z filiżanek nikt w Kaliszu nie słyszał, bo w "tej naszej gastronomii" nie było ekspresów, ani filiżanek, wcześniej zupełnie bezużytecznych. Królowała "jejomość szklanka", do herbaty obowiązkowa nie tylko z konieczności, ale także "kulturowo". Herbata z filiżanki smakowała gorzej. To chyba nawet nie był przykład ZSRR, tak w latach 50-tych kultywowany, tylko relikw panowania Rosji imperialnej w moim rodzinnym

mieście.

Z tych posiadać w "Dorotce", zwykle po pracy, często wieczorami, pamiętam niewiele. Z osób oczywiście Heńka, najwyższego z nas w hierarchii zetemesowskiej i faktycznego lidera paczki. Pamiętam też Barbarę, Baśkę, bardziej może wyzywającą, niż urodziwą. Ciemnej karnacji, bujnych czarnych włosów, zasługiwała na pseudonim "Czarna Baśka" i chyba taki miała. Miała też dużo pewności siebie, energii, takiego młodego kobiecego biglu. Pojawiał się Jurek, "Szwedem" zwany jeszcze w liceum, świński, a życzliwej mówiąc nordycki blondyn. Największa polonistyczna indywidualność w mojej asnykowskiej klasie i, dla równowagi, całkowity głąb z matematyki i okolic. Przez to powtarzał klasę i trafił do nas kiedy byliśmy już w Xb. Jurek jeszcze zagości tu nieraz, ale wtedy był studentem polonistyki na Uniwersytecie Poznańskim i naszym oknem na szerszy świat, w tym na wojewódzkie władze ZMS, gdzie miał jakieś znajomości utkane dzięki pracy w Komitecie Uczelnianym "przedszkolaków partii", jak wtedy nazywano czasem ZMS. Organizator z urodzenia, zjawiał się w "Dorotce" podczas pobytów w Kaliszu z różnymi pomysłami "na działanie". Razu pewnego padł pomysł założenia gazety uczniów kaliskich szkół średnich. No i zaczęło się. Ale zanim się zaczęło biesiady w Dorotce, to było czyste życie towarzyskie jesienią i zimą roku 1959. Wiosną następnego roku to już był schyłek. Zwykle okupowaliśmy ten sam stolik, w kącie, w głębi sali naprzeciw okien wychodzących na ratuszowy plac. W kącie przy oknach przesiadywało jedyne towarzystwo, które zapamiętałem. Grupa trzech, czterech Pań, zadbanych, choć nie wiem, czy można by to nazwać elegancją, raczej pewną ostentacją, przesadą, także w upodobaniach. Mogły być po

trzydziestce, a może o zgrozo przed czterdziestką, co dla mnie wtedy było wiekiem podeszłym. A pomiędzy nimi młody, w naszych ówczesnych latach, brunecik o bujnej kędzierzawej czuprynie, nader rozmowny, ale gestykulacji takiej miękkiej, jakby gejowskiej, oczywiście to słowo nie było jeszcze znane, mówiło się po prostu pederasta, albo pedał, rzecz jasna z dezaprobatą i pogardą. To było ciężkie zboczenie, budzące odrazę, bo jak tak można, chłop z chłopem, baba z babą?! Skaranie boskie, Sodoma i Gomora. Ale raczej kojarzył się nam z żigolakiem, z młodziutką zabawką dla tych czterdziestoletnich "staruszek" i takie uwagi, w odróżnieniu od posądzeń homoseksualnych, siedział wszak z samymi kobietami, padały, być może całkiem niesłusznie. Jak i to, że najstarsza z tych dam, istna wymakijowana babcia, podobno miała być hrabiną. Być może więc siadywały wtedy, w dwu sąsiadujących kątach kawiarni "Dorotka", świat młodej komuny i arystokratycznej dekadencji, "chwasty", jak mawiał Heniek Kupczyk. A może wszystko było zupełnie inaczej, jak się wtedy domyślaliśmy, a ja po tylu latach opisuję.

Pomysł wydawania uczniowskiej gazety pojawił się z końcem roku 1959. Chodziło o gazetę z prawdziwego zdarzenia, nie jakąś tam ścienną robioną pod okiem nauczycieli. Takich było pełno, choć już nie tyle co w czasach stalinowskich, gdy lepiono je powszechnie, z nakazu i obowiązku. Były płomienne, zawsze "po linii partyjnej", idiotyczne i zwykle zwane "Błyskawicą". Chcieliśmy zrobić pismo z prawdziwego zdarzenia, normalną gazetę pod skrzydłem Komitetu Miejskiego ZMS i skierowaną do kaliskich licealistów. W wyobraźni narzuconej przez tamte czasy gazeta całkowicie niezależna się nie mieściła.

Gazeta uczniowska na pewno wykiełkowała najpierw w głowie Jurka, tego "Szweda", który już wtedy miał za sobą pierwsze próby dziennikarskie i chyba też pisał wiersze, kto ich nie pisał w takim, jak my wieku, ale on miał jakieś zadatki. Był więc najbliższy z nas, tego świata ludzi publikujących, który wydawał się mi Olimpem, a towarzystwo tam się pojawiające wyższym sortem ludzkości. Pomysł zrobienia gazety obiecywał więc wejście na ścieżkę, która ku tym wyżynom wiodła i musiał wywołać u mnie po prostu entuzjazm. Myślę dziś, kiedy złażę w dół tej drabiny czasu, że podobny entuzjazm i nadzieja ogarnęły Andrzeja Wojtczaka, trochę wagabundę, trochę chuligana, wegetującego w biednej rodzinie i jednopokojowym mieszkaniu z wszystkimi wygodami na podwórzu, nieudanego asnykowca, nawiewającego z domu w Polskę, jak tylko stopniały śniegi i wyraźnie utalentowanego literacko. Jego wprawki, to była proza z dróg po których się włóczył. Blondyn, o wielkim łbie, przyplaszczonej twarzy, urodą dziś mi się kojarzy z Kirkiem Douglasem. Maniery miał szorstkie, ale kumpel był dobry i zapadł się gdzieś w życie po tym, jak minęła przygoda z uczniowską gazetą, a ja zdałem egzamin na Uniwersytet Warszawski.

Gazetę prawie przygotowaliśmy. Myśleliśmy, myśleliśmy, jak ją nazwać, aż wymyśliliśmy "Berety", niezbyt oryginalnie, ale nosiła wtedy młodzież licealna męska i żeńska te nakrycia głowy, stąd nazwa. Kiedy wiadomość o tym, że w Kaliszu pojawiła się grupa młodych narwańców, chcących wydawać pismo dotarła do Poznania, do Komitetu Wojewódzkiego ZMS, a może i Partii (Partii - tak się zawsze pisało, bo partia była jedna), towarzysze postawili uszy na znak czujności. Rok był 1959. Dopiero co, w ślad za likwidacją "Po prostu", polikwidowano

niepokorne gazetki lokalne, w poznańskim były to "Wyboje", a tu wirus znów się pojawił, i to nieważne, że raczej wirusik, bo a nuż zacząłby wyrastać? Szansa na to była żadna, ale czujność wielka. Tak wielka, że do Kalisza wybrał się aż szef wojewódzkiego ZMS, wydaje mi się, że nazywał się Pawlak, żeby sprawę rozpoznać i "młodych towarzyszy" odpowiednio ustawić. Pamiętam tę rozmowę, choć już bez szczegółów. Była pełna pochwał, życzliwości i zrozumienia, inicjatywa, jak najbardziej słuszna, ale pomysł już nie za bardzo, może za wcześnie, może musi dojrzeć. Dla nas, naiwnie rozentuzjasmowanych wydawaniem "Beretów", widzących je już pachnące świeżą farbą drukarską, ta rozmowa była ciosem, załamaniem się gruntu pod nogami, bo od razu wiedzieliśmy, że nie ma dalej o czym gadać. Traktując nas, jako młodych zapaleńców, naiwnych, nie rozumiejących polityki partii, ale ogólnie "dobrych towarzyszy", zaproponowano na otarcie łez, byśmy przygotowali całą kaliską kolumnę do "Walki Młodych", tygodnika ZMS. Żeby zaś sprawy omówić na miejscu zaproponowano nam wyjazd do Warszawy i spotkanie z samą redaktor naczelną tygodnika towarzyszką Felicją Rappaport. Dobrze było i to, bo cóż mogliśmy zrobić więcej? I w ten sposób pewnego, okropnie mroźnego dnia ruszyliśmy niedogrzanym pociągiem do stolicy. Solidnie zmarznięci wylądowaliśmy na "Głównym". Dworzec Centralny miał powstać kilkanaście lat później. Stolica powitała nas takim powiększonym, barakiem pachnącym potem podróżnych wymieszanym z trudnymi do opisanie zapachami PRL-owskiej dworcowej knajpy. Do redakcji mieszczącej się w Alejach Jerozolimskich dokładnie naprzeciw KC podjechaliśmy tramwajem, o drzwiach zasuwanych ręcznie, lecz rzadko zamykanych, bo zwykle wisiały przy nich stojące

na stopniach grupy pasażerów, tzw. winogrona. Po drodze mineliśmy dwie budowle socjalizmu, równie mocno wtedy propagowane; Pałac Kultury i Centralny Dom Towarowy, cedet, a dziś ""Smyk", wtedy flagowy sklep socjalistycznego handlu. To było jeszcze przed pojawieniem się samoobsługi. Z rozmowy w redakcji nie zapamiętałem niczego, poza bardzo mglistym konturem naczelnej, chyba niskiej kobiety, o urodzie nie wybijającej się i, patrząc na tę zamglona postać z dzisiejszej perspektywy, wyraźnie semickiej. Stało na tym, że przygotujemy materiały po które przyjedzie do Kalisza ktoś z redakcji. Wracaliśmy jeszcze bardziej zmrozeni, a na dodatek okrutnie głodni, bo w redakcji potraktowali nas herbatą, a na restaurację dworcową nie było nas stać. Więc z całej tej mojej pierwszej wyprawy do Miasta, które już wkrótce miało stać się moim miejscem zamieszkania, aż do dziś, zapamiętałem tylko zimno i burczenie w brzuchu. Materiały przygotowaliśmy, jak należy i pewnego dnia zapukała po nie do Komitetu Miejskiego ZMS, gdzie mieliśmy siedlisko, obok Heńka Kupczyka, młoda dziennikarka, ładna, szczupła blondynka. Nazywała się Krystyna Miłotworska. Wkrótce po tym w "Walce Młodych" ukazała się kaliska kolumna, z której byliśmy dumni, bo jednak coś zrobiliśmy, chociaż to nie były "Berety", ale łyzy nam obeschły. A jeszcze jakiś czas po tym usłyszałem, ku memu zaskoczeniu Krystynę Miłotworską mówiącą do kraju przez Radio Wolna Europa. I po jakimś ćwierćwieczu, od jej przyjazdu do Kalisza spotkałem Panią Krystynę, już w sile wieku, w rozgłośni Monachijskiej, gdy zjawiłem się tam pierwszy raz po wyjeździe z Polski w roku 1982.

Nie wystarczało mi zetemesowskie zaangażowanie. Zimą z 1959 na 1960 dowiedziałem się, że przy Komitecie Miejskim Partii (PZPR oczywiście) działa tak

zwany Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu Leninizmu (WUML) i, że można się na niego zapisać, także już w trakcie semestru. To było to! Doskonały substytut studiów wyższych na okres przymusowej odsiadki w Kaliszu, bo to, że wróć na studia nie podlegało dyskusji, choć ciągle nie wiedziałem na jakie. Na pewno nie na Politechnikę, tylko na coś humanistycznego, wedle wskazania starego hucuła z liceum Asnyka (nauczyciela geografii, który przestrzegał mnie przed pójściem na Politechnikę, twierdząc, że jestem humanistą, czego wtedy nie wiedziałem). WUML to było też antidotum, marne, bo marne, ale póki co skuteczne na poczucie degradacji, które mnie dopadło po politechnikowej klęsce, podczas gdy inni, w tym moja niefortunna wybranka i jej zdobywca zdobywali wyższe ostrogi. Wreszcie WUML zbiegł się z moją młodzieńczą fascynacją marksizmem, którego już wcześniej liźnąłem czytając jakąś przypadkowo trafioną książkę Adama Schaffa. Głowę do tej fascynacji, na zasadzie, jak wspomniałem wyżej, "odbicia szajby" w drugą stronę wymościła mi ona. Była bardzo wierząca, choć bez cienia dewocji, taką wiarą intelektualną, zakochana w książkach Mauriaca, które czytałem nudząc się przy nich okrutnie, no ale jak można było inaczej skoro to Ona mi je dała. Zdała na KUL, na teologię. Więc gdy to wszystko się rąbnęło odleciałem na drugi skraj, ku ideologii ofensywnej, zdobywczej, stawiającej na nogi, a tego bardzo potrzebowałem. Nie miałem pojęcia, że substytut stanie się drogowskazem i określi moją zawodową drogę na całe życie. Ale nie sam WUML to sprawił. W kursie był oczywiście wykład z podstaw materializmu historycznego i ekonomii politycznej. Wykład mnie zafascynował. Odkryłem, że jestem ekonomistą, wyklułem się zawodowo. Dopomógł temu wykładowca - profesor Waław Wilczyński, który na

wykłady do Kalisza dojeżdżał z rodzinnego Poznania. Minęło ponad dwadzieścia lat, gdy moja droga, ponownie skrzyżowała się z Nim, dokładnie skrzyżowaliśmy pióra, "pisarskie szpady". Rok był 1981, On zaatakował ostro ekspertów "Solidarności" za to, że podsycają rewindykacyjne, absurdalne w tamtym czasie żądania Związku, zamiast je temperować. Odrzuciłem w "Tygodniku Solidarność" bardzo ostro zarzuty profesora wytykając mu, że nie rozumie uwarunkowań w jakich działają eksperci, że nie mogą iść na zderzenie z ruchem bo zostaną z niego wyrzuceni i zastąpieni bardziej radykalnymi itd. I znów minęła epoka, aż spotkaliśmy się oko w oko, pierwszy raz, na wigilijnym spotkaniu we "Wprost", którego byliśmy wtedy felietonistami. Powiedziałem profesorowi, że to On odkrył we mnie i dla mnie ekonomistę. Ale ciągle nie wiedziałem, gdzie ja będę tę ekonomiczną edukację pobierał, aż trafił w moje ręce na początku 1960 roku informator o studiach wyższych, a w nim odkryłem jedno, jedyne miejsce w Polsce, gdzie była ta poszukiwana krynica wiedzy. To był Wydział Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego! Oj wysoko to była ulokowana krynica! Warszawę od Kalisza dzieliły wtedy lata świetlne. Poznań, Wrocław, Łódź to były trasy wędrówek kaliskich maturzystów po nauki. Ale Warszawa? Prawie nieosiągalne. Jednak się zawiąłem. Do głowy mi nie przychodziło, że mógłbym przegrać. Nie wyobrażałem sobie kolejnego roku w Kaliszu i w Skarbowym Urzędzie Komorniczym. Ciągnęło mnie w świat. Gdy przyszła pora złożyłem papiery. Ale dużo wcześniej zasiadłem do wkuwania materiału na egzaminy. Wydaje mi się, że były z historii, geografii i matematyki. Pamiętam tylko matematykę, dlatego, bo czułem, że to mój wrażliwy punkt. Postawiłem na rozwiązywanie zadań i równań.

W ciągu kilku miesięcy przerobiłem ich chyba parę tysięcy, korzystając z kilku rosyjskich zbiorów zadań, zdobytych nie wiem już jak. Mogłem z nich korzystać dzięki niezłej znajomości rosyjskiego wyniesionej z liceum i zawdzięczanej wychowawczyni Wandzie Gorgoniowej, która potrafiła nas przekonać do nauki "wrażego", ale i pięknego, melodyjnego języka (jest o Niej tutaj wspomnienie, w części "Publicystyka"). Ruszyłem do Warszawy obkuty na wszystkie możliwe sposoby. Przekraczałem bramę Uniwersytetu przy Krakowskim Przedmieściu, jakbym wchodził do świątyni. Było pięknie, wzruszająco, tym bardziej, że za sobą miałem szare miesiące za biurkiem w Powiatowej Radzie, a przed sobą szansę na nowy początek. Byłem na jego progu.

(Fragment opowieści "Rodzina i Historia" - niepublikowane)